

CHRISTINA LAUREN

PODRÓŻ NIEŚLUBNA

Copyright © Poradnia K

W ciszy przed burzą – a w tym przypadku w chwili błogosławionego spokoju przed najazdem gości weselnych – moja siostra bliźniaczka przygląda się krytycznie swoim świeżo pomalowanym na błady róż paznokciom i mówi:

– Na pewno ci ulżyło, że nie jestem panną młodą z piekła rodem. – Zerka na mnie przez pokój i uśmiecha się wielkodusznie. – Pewnie się spodziewałaś, że będę niemożliwa.

Ta uwaga tak idealnie wpisuje się w ten moment, że mam ochotę zrobić jej zdjęcie i oprawić w ramki. Wymieniam wymowne spojrzenie z naszą kuzynką Julieta, która kolejny raz maluje paznokcie u stóp Ami („To powinien być bardziej pudrowy róż niż landrynkowy, nie sądzisz?”), i wskazuję na górę sukni ślubnej. W tej chwili sprawdzam pieczołowicie, czy żaden cekin przypadkiem nie ośmielił się unieść.

– Co rozumiesz przez „panną młodą z piekła rodem”?

Ami znów patrzy mi w oczy, tym razem spode łba. Ma na sobie wymyślny ślubny biustonosz i skąpą bieliznę, którą – myśl o tym wywołuje we mnie lekkie siostrzane mdłości – jej bananowy narzeczony, Dane, po weselu dosłownie roznieście na strzepy. Makijaż Ami jest gustowny, puszysty welon spływa z wysoko upiętych włosów. Nie do wiary. To znaczy, przywykłyśmy do tego, że wyglądamy identycznie, choć wiemy, że wewnątrz jesteśmy zupełnie różnymi osobami, ale to coś zupełnie nowego: Ami jest panną młodą jak z obrazka. Nagle jej życie w niczym nie przypomina mojego.

– Wcale nie jestem panną młodą z piekła rodem – wyjaśnia.

– Tylko perfekcjonistką.

Sięgam po moją listę i unoszę ją, machając, żeby zwrócić uwagę siostry. Spis wykaligrafowany jest na ciężkiej różowej papeterii z brzegiem wyciętym w ząbki, na górze widnieje napis *Olive: Lista rzeczy do zrobienia – edycja weselna*, a poniżej wyszczególniono siedemdziesiąt cztery (sic!) punkty, począwszy od: *Sprawdzić symetrię cekinów na sukni ślubnej aż po: Usunąć ew. zwiędłe płatki z bukietów na stołach*.

Każda z druzhen ma własny spis, może nie aż tak długi jak mój – świadkowej – ale równie wymyślny i napisany odręcznie. Ami narysowała nam nawet kwadraciki, w których możemy odhaczać wykonane zadania.

– Niektórzy mogliby uznać te listy za lekką przesadę – zauważam.

– Ci sami „niektórzy” – ripostuje moja siostra – są gotowi zapłacić złote góry za zorganizowanie imprezy, która nie będzie nawet w połowie tak udana.

– No tak. Zatrudniają *wedding plannerkę* do – zerkam na swój spis: – *Wytarcia wilgoci z krzesel na pół godziny przed ceremonią*.

Ami dmucha na świeżo pomalowane paznokcie i zanoszą się śmiechem jak czarny charakter w filmie.

– Głupcy.

Na pewno słyszeliście o samospełniających się przepowiedniach. Człowiek coś wygrywa, czuje się zwycięzcą, więc potem jakoś... dalej tak trzyma. To musi być prawda, bo Ami wygrywa dosłownie wszystko. Kupiła los na odpustowej loterii i wygrała bilety na przedstawienie w domu kultury. Wrzuciła swoją wizytówkę do kapelusza w pubie Happy Gnome i przez rok miała tam darmowe piwo w czasie *happy hour*. Do tej pory zdarzyło jej się wygrać kurs makijażu, książki, bilety na premiery filmów, kosiarzkę, niezliczone koszulki, a nawet samochód. Rzecz jasna wygrała także zestaw do kaligrafii i papeterię, na której spisała listy rzeczy do zrobienia.

Krótko mówiąc, gdy tylko Dane Thomas się jej oświadczył, Ami potraktowała to jako wyzwanie, by oszczędzić naszym rodzicom kosztów wesela. Tak się składa, że mamę i tatę byłoby na nie stać – mają problemy z wieloma rzeczami, lecz akurat pieniądze nie są jedną z nich – ale dla mojej siostry wykręcenie się od płacenia za cokolwiek to najbardziej wciągająca gra na świecie. O ile Ami przed zaręczynami postrzegala konkursy i loterie w kategoriach sportu, o tyle jako narzeczona podeszła do nich jak do igrzysk olimpijskich.

Toteż nikt z naszej wielkiej rodziny nie był zaskoczony, kiedy udało jej się zaplanować wytworne wesele na dwieście osób z bufetem z owocami morza, fontanną z czekolady oraz tęczowymi różami wylewającymi się z każdego wazonu, dzbanka i pucharu – i wydać na to wszystko góra tysiąc dolarów. Moja siostra nie spocznie, póki nie wytropi najlepszych promocji i konkursów. Publikuje na swojej tablicy wszystkie tego typu rzeczy z Facebooka i Twittera i ma nawet adres mejlowy o stosownej nazwie: *AmeliaTorresWygrywa@xmail.com*.

Upewniwszy się wreszcie, że nie ma żadnych niesfornych cekinów, zdejmuję wieszak z metalowego haczyka na ścianie i chcę zanieść pannie młodej suknię.

Jednak gdy tylko jej dotykam, moja siostra i kuzynka jednocześnie wydają z siebie okrzyk, a Ami załamuje ręce, układając matoworóżowe wargi w przerażone „O”.

– Ollie, nie ruszaj jej – ostrzega. – Za chwilę tam podejdziesz. Znając twoje szczęście, zaraz się potkniesz, wpadniesz na świeczkę i sukienka zmieni się w kulę ognia o zapachu cekinów.

Nie zaprzeczam: jest w tym trochę racji.

O ile Ami to czterolistna koniczynka, o tyle ja zawsze miałam pecha. Nie mówię tego tylko po to, żeby zrobić wrażenie albo dlatego, że w porównaniu z nią nie mam szczęścia; to fakt. Wpiszcie w Google Olive Torres, Minnesota, a znajdziecie dziesiątki artykułów i komentarzy pod nimi, dotyczących sytuacji, gdy wdrapałam się do automatu z pluszakami i utknęłam za szybą w środku. Miałam sześć lat i kiedy maskotka, którą udało mi się wyłowić, nie spadła prosto do podajnika, postanowiłam sama ją sobie wziąć.

Spędziłam wewnątrz automatu dwie godziny, otoczona masą twardych misiów o szorstkim futrze i chemicznym zapachu. Pamiętam, jak wyjrzałam na zewnątrz przez pokrytą śladami palców szybę z pleksiglasu i zobaczyłam mnóstwo rozgorączkowanych twarzy, które wykrzykiwały coś do siebie stłumionymi głosami. Podobno kiedy właściciele salonu z automatami wyjaśnili moim rodzicom, że ta konkretna maszyna nie należy do nich i w związku z tym nie mają do niej klucza, wezwano straż pożarną, a w ślad za nimi przybyli dziennikarze lokalnej telewizji, którzy starannie udokumentowali moje uwolnienie.

Dwadzieścia sześć lat później – wielkie dzięki, YouTube – filmik nadal krąży po sieci. Do dziś pięćset tysięcy osób obejrzało go i przekonało się, że miałam tyle uporów, by wdrapać się do środka, oraz takiego pecha, że przy wyjściu zaczepiłam o coś szlufką i moje spodnie zostały w automacie razem z misiami.

A jest to tylko jedna z licznych historii. Więc owszem, Ami i ja jesteśmy bliźniaczkami jednojajowymi – obie mamy sto sześćdzie-

siąt trzy centymetry wzrostu, ciemne włosy, które puszą się nawet przy minimalnej wilgoci, ciemnobrązowe oczy, zadarte nosy i jednakowy układ piegów, ale na tym podobieństwa się kończą.

Mama zawsze starała się podkreślać nasze różnice tak, żebyśmy czuły się odrębnymi jednostkami, a nie pasującym zestawem. Wiem, że miała dobre intencje, lecz odkąd pamiętam, każda z nas miała przypisaną rolę: Ami to optymistka, która zawsze widzi szklankę do połowy pełną; ja zazwyczaj spodziewam się najgorszego. Kiedy miałyśmy trzy latka, mama przebrała nas na Halloween za Troskliwe Misie: Ami była Misiem Słoneczne Serce. Ja – Gderkiem.

Poza tym samospelniająca się przepowiednia ewidentnie działała w dwie strony: od momentu, gdy zobaczyłam się w lokalnych wiadomościach, jak dłubię w nosie za brudną szybą z pleksi, pech stale mi towarzyszy. Nigdy nie wygrałam konkursu na najładniejszą kolorowaną ani nie wytypowałam zwycięzcy w żadnych zakładach u nas w biurze; nie poszczyściło mi się na loterii czy choćby wyścigu w workach. Złamałam natomiast nogę, kiedy ktoś na schodach przewrócił się do tyłu i mnie podciął (sam nie doznając żadnych obrażeń), na wakacjach z kuzynami przez pięć lat z rzędu drogą losowania przypadał mi w udziale dyżur łazienkowy, gdy opalałam się na Florydzie, obsikał mnie pies, przez lata narobiły na mnie niezliczone ptaki, a kiedy miałam szesnaście lat, zostałam rażona piorunem – serio – i przeżyłam (ale musiałam uczyć się w wakacje, bo straciłam dwa tygodnie zajęć pod koniec roku). Ami lubi przypominać mi radośnie, że raz trafnie odgadłam liczbę kolejek w do połowy opróżnionej butelce tequili.

Jednak po wypiciu większości w ramach świętowania sukcesu, a następnie zwróceniu całego alkoholu, to zwycięstwo nie wydawało mi się aż takim szczęściem.

Ami zdejmuje (darmową) sukienkę z wieszaka i wsuwa ją na siebie w chwili, gdy nasza mama wchodzi do pokoju ze swojego

(również darmowego) sąsiedniego apartamentu. Na widok córki w sukni ślubnej zastyga z tak dramatyczną miną, że obie z Ami na pewno myślimy to samo: „Olive jakimś cudem poplamiała tę sukienkę”.

Dla pewności lustruję ją od stóp do głów.

Wszystko jest jak trzeba, Ami oddycha z ulgą i daje mi znać, żebym zapięła zamek – tylko ostrożnie – i mówi:

– *Mami*, ale nas nastraszyłaś.

Z ogromnymi wałkami we włosach, niedopitym kieliszkiem (bingo: darmowego) szampana w dłoni i grubą warstwą czerwonej szminki na ustach mama budzi nieodparte skojarzenia z Joan Crawford. Gdyby ta urodziła się w Guadalajarze.

– Och, *mijita*, wyglądasz przepięknie.

Ami podnosi na nią wzrok, uśmiecha się, a potem w nagłym przypływie paniki przypomina sobie o liście, którą zostawiła hen, hen na drugim końcu pokoju. Zadziera falbaniastą suknię i podbiega do stolika.

– Mamo, dałaś DJ-owi pendrive z muzyką?

Nasza matka opróżnia kieliszek i z gracją opada na pluszową kanapę.

– *Sí*, Amelio. Dałam twój plastikowy dynks temu białemu facetowi z warkoczykami w koszmarnym garniturze.

Ubrana w nienaganną sukienkę w kolorze fuksji, mama zakłada jedną opaloną nogę na drugą i przyjmuje kolejny kieliszek szampana od dziewczyny z obsługi.

– On ma złoty ząb – dorzuca. – Ale na pewno jest świetnym fachowcem.

Ami puszcza tę uwagę mimo uszu i zamaszystym ruchem odfajkowuje odpowiedni punkt na liście. W gruncie rzeczy nie obchodzi jej, czy DJ dorasta do standardów mamy – albo i do jej własnych. Gość niedawno przyjechał do miasta, a moja siostra wygrała jego usługi na loterii w szpitalu, gdzie pracuje jako pielęgniarka na oddziale hematologii. Darmowy DJ jest

zawsze lepszy niż choćby najbardziej utalentowany, koniec kropka.

– Ollie – odzywa się Ami, nie odrywając wzroku od listy – ty też musisz się ubrać. Twoja sukienka wisi na drzwiach w łazience.

Natychmiast ruszam w tamtą stronę, salutując siostrze żartobliwie.

– Się robi, szefowo.

Pytanie, które zdarza nam się słyszeć częściej niż jakiegokolwiek inne, to która z nas jest starsza. Odpowiedź wydaje mi się dość oczywista, bo choć Ami jest ode mnie starsza zaledwie o cztery minuty, to bez dwóch zdań ona wie dziećmi prym w naszym duecie. Jako dzieci bawiłyśmy się w to, w co ona chciała, szłyśmy tam, dokąd zdecydowała, i wprawdzie bywało, że na to narzekałam, ale przez większość czasu podporządkowywałam jej się z radością. Jest w stanie namówić mnie niemal do wszystkiego.

I właśnie w ten sposób znalazłam się w tej sukience.

– Ami! – Otwieram drzwi, przerażona tym, co zobaczyłam w niewielkim łazienkowym lustrze. Może to wina oświetlenia, mówię sobie, podkasując to błyszczące zielone paskudztwo i kierując się przed większe lustro w apartamencie.

Łał. No nie, zdecydowanie nie chodziło o oświetlenie.

– Olive – odpowiada moja siostra.

– Wyglądam jak gigantyczna puszka 7UP.

– I o to chodzi! – woła Jules. – Może ktoś w końcu ją otworzy. Mama odchrząkuje.

Spoglądam na Ami z wściekłością. Obawiałam się bycia druhną w styczniu i świąteczno-zimowych nawiązań, dlatego moim jedynym życzeniem jako świadkowej było to, żeby na mojej sukience nie znalazła się ani odrobina czerwonego aksamitu i białego futerka. Teraz widzę, że powinnam wyrazić się bardziej konkretnie.

– Czy ty naprawdę wybrałaś coś takiego? – Wskazuję na mój potężny dekolt. – Zrobiłaś to celowo?

Siostra przygląda mi się z przechyloną głową.

– No, celowo w tym sensie, że wygrałam loterię w kościele u baptystów! Sukienki dla wszystkich druhen za jednym zamachem – pomyśl, co za oszczędność.

– Przecież my jesteśmy katolikami, a nie baptystami. – Szarpie za zielony materiał. – Wyglądam jak hostessa w O’Gara’s na świętego Patryka.

Zdaję sobie sprawę ze swojego podstawowego błędu – aż do dziś nie obejrzałam swojego stroju – ale Ami zawsze miała doskonały gust. W dniu przymiarek byłam w gabinecie szefowej i błagałam, bez powodzenia, żeby nie znaleźć się w gronie czterystu naukowców, których zwalniała nasza firma. Na pewno miałam kłopoty ze skupieniem, kiedy siostra wysłała mi zdjęcie sukienki, ale nie pamiętam, żeby była aż tak satynowa i aż tak zielona.

Odwracam się, żeby zobaczyć ją pod innym kątem i – rany boskie, od tyłu wygląda jeszcze gorzej. Na domiar złego kilka tygodni pieczenia w ramach radzenia sobie ze stresem sprawiło, że jestem, powiedzmy... nieco pełniejsza w biuście i biodrach.

– Daj mnie na tło każdego zdjęcia, świetnie się sprawdzę jako zielony ekran.

Jules podchodzi do mnie od tyłu, drobniutka i zgrabna w swojej własnej błyszczącej zielonej sukience.

– Wyglądasz w niej super. Mówię ci.

– *Mami* – woła moja siostra – czy ten dekolt nie podkreśla pięknie obojczyków Ollie?!

– I jej *chichis*. – Mama pociąga długi łyk ze swojego kieliszka, który został napełniony raz jeszcze.

Reszta druhen wpada do apartamentu i rozlega się chór głośnych, emocjonalnych zachwytów nad tym, jak pięknie Ami wygląda w swojej sukni. To standardowa reakcja w rodzinie Torresów. Zdaję sobie sprawę, że może to brzmieć jak spostrzeżenie rozgoryczonej siostry, ale słowo honoru, że tak nie jest. Ami zawsze uwielbiała być w centrum uwagi, natomiast ja –

jak wskazują moje rozpaczliwe krzyki, transmitowane przez laty w lokalnych wiadomościach – nie. Moja siostra dosłownie błyszczy w świetle reflektorów; ja z radością przekierowuję to światło na nią.

Mamy dwanaście kuzynek pierwszego stopnia i wszystkie jesteśmy na bieżąco z tym, co się u której dzieje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jednak wobec tego, że wygrana Ami obejmowała tylko siedem (darmowych) sukienek, trzeba było podjąć nietatwe decyzje. Kilka kuzynek nadal jest z tego powodu w pasywno-agresywnym nastroju i w związku z tym poszły się szykować do własnych pokoiów, ale może to i lepiej; ten apartament jest i tak stanowczo za mały, żeby tyle kobiet mogło jednocześnie wbić się w swoją bieliznę modelującą.

W powietrzu wisi obłok lakieru do włosów, a na blacie leży taka liczba lokówek, prostownic i przeróżnych buteleczek, że wystarczyłoby do zaopatrzenia porządnego salonu piękności. Każda powierzchnia albo się lepi od jakiegoś produktu do stylizacji, albo jest ukryta pod rozsypaną zawartością czyjejś kosmetyczki.

Ktoś puka do drzwi apartamentu – Jules otwiera je i pojawia się w nich się nasz kuzyn Diego. Ma dwadzieścia osiem lat i jest gejem, bardziej zadbanym, niż mnie się kiedykolwiek uda. Stwierdził, że to okropnie seksistowskie, kiedy Ami mu powiedziała, że nie może dołączyć do druhen i będzie musiał spędzać czas z panem młodym i jego kumplami. Sądząc po minie Diega, teraz, gdy przygląda się mojej sukience, uważa się za szczęściarza.

- No wiem – odzywam się, z rezygnacją odchodząc od lustra.
- Jest trochę...
- Ciasna? – zgaduje Diego.
- Nie...
- Błyszcząca?
- Nie. – Piorunuję go wzrokiem.
- Zdzirowata?

– Zamierzałam powiedzieć „zielona”.

Przechyla głowę i obchodzi mnie dookoła, przyglądając się sukience z każdej strony.

– Chciałem zaproponować, że cię umaluję, ale to by była strata czasu. – Macha ręką. – I tak nikt dziś nie spojrzy na twoją twarz.

– Diego, proszę nie wyzywać Olive od zdir – wtrąca moja mama, a ja zauważam, że nie zaznaczyła, iż się z nim nie zgadza; po prostu kazała mu nie dokuczać mi z tego powodu.

Daję sobie spokój z martwieniem się o sukienkę – i o to, ile biustu będę miała na wierzchu przez cały ślub i wesele – i wracam do chaosu wypełniającego pokój. Podczas gdy moje kuzynki spryskują się nawzajem płynem antystatycznym i pytają o zdanie na temat butów, wokół toczy się kilkanaście rozmów naraz. Natalia ufarbowała swoje brązowe włosy na blond i jest przekonana, że wygląda katastrofalnie. Diego przyznaje jej rację. Fiszbiny wyszły Stephanie spod stanika bez ramiączek i *Tía* Maria tłumaczy jej, jak może zamiast tego podkleić sobie piersi taśmą. Cami i Ximena kłócą się o to, które majtki modelujące są czyje, a mama skwapliwie opróżnia swój kieliszek. Jednak wśród całego tego zgłębku i chemikaliów uwaga Ami znów koncentruje się na liście.

– Olive, sprawdzałaś, co z tatą? Jest już na miejscu?

– Był w hallu, kiedy tu przyjechałam.

– Dobrze. – Kolejna pozycja odfajkowana.

Może się wydawać dziwne, że zadanie sprawdzenia, gdzie jest tata, przypadło mnie, a nie jego żonie – a naszej matce – która siedzi tuż obok, ale tak to już działa u nas w rodzinie. Rodzice nie kontaktują się bezpośrednio od czasu, gdy tata zdradził mamę, a ta wyrzuciła go z domu, po czym odmówiła mu rozvodu. Oczywiście byliśmy po jej stronie, ale minęło już dziesięć lat, a emocje są u nich obojga wciąż tak świeże, jakby to dziś mama przyłapała go z inną. Nie mogę sobie przypomnieć ani

jednej rozmowy, którą odbyli ze sobą bez udziału mnie, Ami albo jednego z ich siedmiorga w sumie rodzeństwa, od kiedy tata odszedł. Dostyc wcześnie zdałyśmy sobie sprawę, że tak jest łatwiej dla wszystkich, niemniej ja wyniosłam z całej tej sprawy przykre poczucie, że miłość jest wykańczająca.

Ami sięga po mój spis rzeczy do zrobienia, a ja gorączkowo chwytam go, zanim wpadnie w ręce siostry; brak odfajkowanych zadań wpędziłby ją w panikę. Zerkam na listę i widzę z zachwytem, że następna rzecz wymaga ode mnie opuszczenia tej mrocznej jaskini pełnej lakieru do włosów.

– Pójdę do kuchni upewnić się, że szykują dla mnie osobny posiłek.

Darmowy bufet zawiera małże, po których zjedzeniu wylądowałabym w kostnicy.

– Mam nadzieję, że Dane też zamówił kurczaka dla Ethana – zamyśla się Ami. – Oby. Możesz go spytać?

Paplanina w pokoju zamienia się w ogłuszającą ciszę i jedenaście par oczu zawisa na mnie. Na wzmiankę o starszym bracie Dane'a nagle psuje mi się humor.

Chociaż Dane jest zupełnie w porządku, może trochę zbyt zadowolony z siebie jak na mój gust – wrzeszczy podczas meczy w telewizji, starannie pielęgnuje swoje mięśnie i dba o to, żeby wszystkie elementy stroju na siłownię zawsze do siebie pasowały – to Ami jest przy nim szczęśliwa. I to mi wystarczy.

Natomiast Ethan jest cholernym kutafonem, który uważa się za nie wiadomo kogo.

Świadoma tego, że uwaga wszystkich jest skupiona na mnie, krzyżuję ramiona, już poirytowana.

– Czemu? Czyżby on też miał alergię?

Z jakiegoś powodu myśl, że mogę mieć coś wspólnego z Ethanem Thomasem, największym gburem na ziemi, budzi we mnie irracjonalną agresję.

– Nie – wyjaśnia Ami. – Po prostu nie przepada za bufetami.

Parskam śmiechem.

– Za bufetami. Ach tak.

Mam wrażenie, że Ethan właściwie za niczym nie przepada.

Na przykład podczas grilla, którego urządzili Ami i Dane z okazji Czwartego Lipca, nie chciał tknąć żadnej z potraw, które przygotowywałam przez pół dnia. W Święto Dziękczynienia zamienił się miejscami ze swoim ojcem, Dougiem, żeby nie musieć siedzieć koło mnie. A wczoraj na przedślubnej próbie obiadu za każdym razem, kiedy zjadłam kęs ciasta albo Jules czy Diego mnie rozśmieszyli, Ethan masował sobie skronie, demonstrując, że cierpi w najdramatyczniejszy sposób, jaki kiedykolwiek widziałam. W końcu zostawiłam to, co miałam na talerzu, i wstałam zaśpiewać karaoke z tatą i *Tio* Omarem. Nadal jestem wściekła, że zrezygnowałam z trzech kęsów wyjątkowo dobrego ciasta z powodu Ethana Thomasa.

Ami pochmurnieje. Sama nie jest specjalną fanką Ethana, ale chyba ma już dosyć rozmów na ten temat.

– Olive. Przecież ty go prawie nie znasz.

– Wystarczająco dobrze. – Patrząc na nią, wypowiadam dwa krótkie słowa: – Smażony ser.

Moja siostra wzdycha i kręci głową.

– Rany, ty mu chyba naprawdę nigdy nie odpuścisz.

– Bo kiedy tylko coś jem, śmieję się albo oddecham, urażam jego delikatne uczucia. Wiesz, widzieliśmy się już z pięćdziesiąt razy, a on do tej pory za każdym razem robi taką minę, jakby usiłował sobie przypomnieć, kim ja jestem... – Wskazuję na nią, a potem na siebie. – Ami, przecież my jesteśmy bliźniaczkami.

Natalia przerywa rozczesywanie sobie rozjaśnionych włosów i zabiera głos. Jakim cudem jej wielkie piersi mieszczą się w tej sukience? To niesprawiedliwe.

– Teraz masz szansę się z nim zaprzyjaźnić, Olive. Hmm, ależ z niego ciacho.

W odpowiedzi spoglądam na nią z niesmakiem spod uniesionej po Torresowsku brwi.

– I tak będziesz musiała do niego pójść – wtrąca Ami, a moja uwaga natychmiast koncentruje się na niej.

– Co? Jak to?

Widząc moje zaskoczenie, siostra wskazuje na listę zadań.

– Numer sie...

Na wzmiankę o rozmowie z Ethanem wpadam w panikę i podnoszę dłoń, uciszając Ami. No i oczywiście, w spisie widzę numer siedemdziesiąt trzy – Ami wiedziała, że nie będzie mi się chciało przeczytać całej listy – najgorsze zadanie, jakie może być: *Każ Ethanowi pokazać Ci jego przemówienie. Nie pozwól mu powiedzieć nic okropnego.*

Jeśli nie mogę obwinić mojego pecha za ten cios, to z pewnością mogę podziękować za niego siostrze.

Przełożyła Nina Dzierżawska